Artyzm, smak i styl

Rozmowa z reżyserem Teatru im. J. Osterwy w Lublinie Zofią Modrzewską

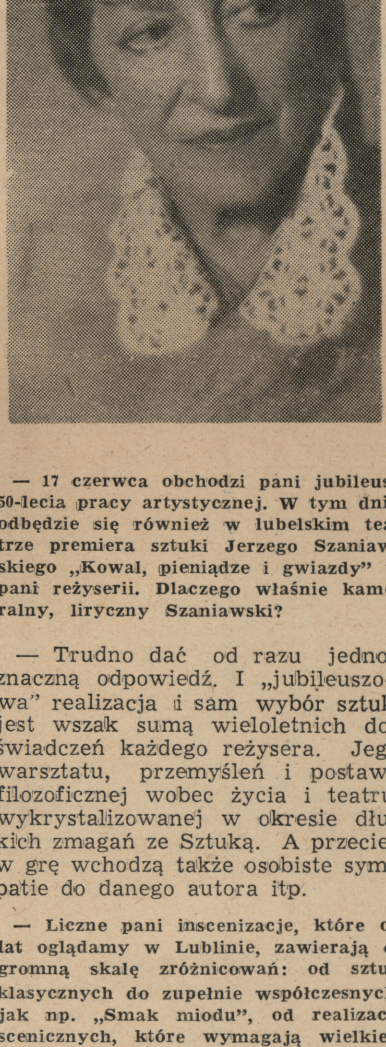

— 17 czerwca obchodzi pani jubileusz 50-lecia pracy artystycznej. W tym dniu odbędzie się również w lubelskim teatrze premiera sztuki Jerzego Szaniawskiego „Kowal, pieniądze i gwiazdy" w pani reżyserii. Dlaczego właśnie kameralny, liryczny Szaniawski?

— Trudno dać od razu jednoznaczną odpowiedź. I „jubileuszowa" realizacja i sam wybór sztuki jest wszak sumą wieloletnich doświadczeń każdego reżysera. Jego warsztatu, przemyśleń i postawy filozoficznej wobec życia i teatru, wykrystalizowanej w okresie długich zmagań ze Sztuką. A przecież w grę wchodzą także osobiste sympatie do danego autora itp.

— Liczne pani inscenizacje, które od lat oglądamy w Lublinie, zawierają ogromną skalę zróżnicowań: od sztuk klasycznych do zupełnie współczesnych, jak np. „Smak miodu", od realizacji scenicznych, które wymagają wielkiej palety do sztuk bardzo kameralnych, intymnych. Od dwudziestu lat jest pani ściśle związana z Lublinem...

— ...i bezsprzecznie praca tutaj rzutuje w dużej mierze na moją drogę artystyczną...

— ale przecież jest to tylko jeden z kolejnych etapów pani życia teatralnego. A właściwie, w tym miejscu nasuwa mi się raczej stereotypowe, niemniej jednak zawsze ciekawiące każdego pytanie: jak to się wszystko zaczęło?

— Dość sielsko i romantycznie. Jako dziecko mieszkałam na wsi, na Ukrainie. Mój ojciec, architekt, posiadał duże zdolności recytatorskie. Również bardzo dobrze recytowała moja starsza kuzynka. Ojciec korygował jej błędy, udzielał rad i wskazówek, „pracował nad wierszem". Ja byłam wtedy jeszcze zupełnie mała i tylko przysłuchiwałam się częstym wieczornym „próbom" i „występom". Być może po ojcu odziedziczyłam jego reżyserskie zapędy? W każdym razie przez długie lata nie zdawałam sobie sprawy z tego dziedzicznego obciążenia...

— Ale fakt, że została pani aktorką...

— Od aktorstwa do reżyserii droga daleka. Tym bardziej, że moim zdaniem reżyser powinien być najpierw — dobrym aktorem. Znane wyjątki tylko potwierdzają regułę. Schiller, mój pierwszy mąż, aktorem nie był, ale... Schiller był genialnym inscenizatorem... Ja byłam aktorką od 1917 do 1932 roku. Występowałam w Warszawie w Teatrze Polskim. Zaangażował nas tam razem z Schillerem Arnold Szyfman. Schiller został, jak wiadomo, kierownikiem literackim i powoli kierował się w stronę reżyserii. Ja grałam na scenie, ale również z upływem lat coraz mniej interesowało mnie „czyste" aktorstwo, a pociągała reżyseria.

— Oraz dramatopisarstwo.

— Tak. W 1931 roku napisałam sztukę „Błędne koło Krystyny", którą wystawił krakowski Teatr im. Słowackiego.

— Niedawno zaś pani adaptacja „Wiernej rzeki" Żeromskiego cieszyła się wielkim powodzeniem w Olsztynie.

— Ale wróćmy do reżyserii... Po wystawieniu „Błędnego koła Krystyny' już tylko krok dzielił mnie do wzięcia ostatecznego rozbratu z aktorstwem. Stało się to w 1932 r., kiedy wyreżyserowałam w Reducie „Sprawę Moniki" Marii Morozowicz-Szczepkowskiej. Sztuka, razem z przedstawieniami objazdowymi, szła 675 razy. Wkrótce potem reżyserowałam, znowu w Reducie, tejże Morozowicz-Szczepkowskiej „Walący się dom". I już poszło... Reżyserowałam dużo, ale nigdy nie wiązałam się na stałe z żadnym teatrem. Miałam męża, dom, nie chciałam jeszcze dodatkowych obowiązków. Wojnę przetrwałam u rodziny w Krakowie. Po wojnie przez dwa lata pracowałam w teatrze w Bydgoszczy, potem przez pewien czas była Łódź no i... na zaproszenie ówczesnego dyrektora teatru Maksymiliana Chmielarczyka — Lublin. Z początku gościnnie, a wkrótce na stałe. Tutaj wpadłam w prawdziwy wir pracy. „Obrona Ksantypy", „Pan inspektor przyszedł"... Częste premiery, zajęcia w lubelskiej szkole dramatycznej...

— Było to zdaje się w ogóle pierwsze pani spotkanie z Lublinem?

— Niezupełnie. Jeszcze jako aktorka, grubo przed wojną, przyjechałam z zespołem Teatru Polskiego na gościnne występy. Graliśmy „Dom kobiet" Nałkowskiej . Ale, wie pan, ówczesny Lublin wydał mi się trochę nierealny, zagubiony w epoce i... „czechowiczowski". Teraz to było miasto realne i zdecydowane, niedawna stolica nowego państwa. To było młode miasto i młody teatr. Zdecydowałam się tutaj pozostać.

— Jednak potem, przez trzy lata, była pani kierownikiem teatru w Olsztynie.

— Ale przyjechałam z powrotem... Wracając zaś do początku naszej rozmowy: spośród wielu sztuk, jakie reżyserowałam, zawsze najbardziej pociągały mnie te, w których „wnętrze" znaczy więcej niż „obraz". Starałam się robić sztuki kameralne, psychologiczne, a w ich postaciach zawsze odnajdywać ludzkie odruchy. Cenię autorów, których charakteryzują trzy rzeczy: artyzm, smak i styl. Taki jest Szaniawski. Dzisiaj zachłystujemy się techniką. Ale... same wynalazki techniczne nie wzbogacają duszy. Dlatego wybrałam „Kowala, pieniądze i g w i a z d y".

Rozmawiał:

Mirosław Derecki